

Dawid Juraszek

Obywatelstwo w standardzie

Pierwodruk w miesięczniku „Science Fiction, Fantasy i Horror”

© Dawid Juraszek

www.fantastykapolska.pl

– Te podatki nas zeżrą.

– Podatki, podatki! – Marta wystudiowanym ruchem opadła na fotel i pogardliwie wydeła wargi. – Przestań wreszcie mówić jak swój ojciec.

– To co robimy? – zmęczonym głosem zapytał Szczepan. Na stole przed nim stała szklanka zimnej kawy. Nie miał siły zrobić sobie nowej.

– Po pierwsze, wypowiadamy abonament Szwajcarii. Najpóźniej do przyszłego tygodnia tam zadzwonisz, bo inaczej automatycznie przedłużą o rok. Potem umawiamy się z agentem USA...

– USA? Myślałem, że Germanii! – wpatrzył się w żonę zaskoczony.

– Tak, ale miałaś rację, że wyszłoby za drogo – Marta kiwnęła głową i sięgnęła po sok. – Abonament USA jest o 23% niższy, obywatelstwo w standardzie, i przede wszystkim świetne warunki ochrony. Nie będzie już problemów ze zwrotem kosztów za dochodzenie policyjne. Nie zapomnę Szwajcarom, jak wystawili nam rachunek za areszt tego kieszonkowca. Kutasy w krawatach, on ukradł mi portfel, a oni pół lokaty – czerwone wargi wezbrały jak do splunięcia.

– W abonamencie USA jest ponadto pakiet darmowych wiz turystycznych na teren Stanów. Przynajmniej następne wakacje spędzimy po ludzku.

– Mieliśmy jechać na Bałkany – zaprotestował Szczepan. Jeszcze miał w pamięci ostatni urlop w Helladzie i z utęsknieniem czekał na powrót w podobne klimaty.

– E tam, ile można jeździć po Europie. Mam ochotę polecieć za ocean, zobaczyć, jak tam jest! – w teatralnym geście wyprostowała ramiona.

– Czekał – Szczepan postanowił skierować rozmowę na właściwe tory. – OK, amerykańskie podatki... abonamenty – poprawił się, bo żona spiorunowała go wzrokiem – są stosunkowo tanie, ale co z opieką zdrowotną? Przecież tam obowiązuje współpłacenie prawie we wszystkim.

Marta wzruszyła ramionami.

– No i co z tego? Kiedy ostatnio byłeś chory? Przez tyle lat łożyliśmy ciężkie pieniądze na składki zdrowotne w systemie szwajcarskim, i co? Zęby sobie wymieniliśmy. Kompletnie się nie opłaca. Osobiście wolę mieć dobrą ochronę policyjną i najlepszych sędziów, zamiast lekarzy, których na oczy nie będę oglądać.

Szczepan wstał i przespacerował się po pokoju. Nie takie snuł plany. W umyśle miał zakodowane, że ubezpieczenie zdrowotne to podstawa, i teraz rozważałby przeniesienie się do innego operatora budżetowego tylko pod warunkiem wynegocjowania korzystnych taryf zdrowotnych. Nie mierzył wprawdzie tak wysoko, jak germański program zdrowotny, najlepszy, ale i najwyżej opodatkowany, tzn. taryfikowany w Unii, ale taki powiedzmy skandynawski, czemu nie?

– Marta – westchnął – a jak coś się stanie, zachorujemy, jakiś wypadek, to jak pokryjemy koszt? Nie lepiej płacić na dobrą ochronę zdrowia?

– Rozmawialiśmy już o tym – ucięła, sięgając po kurteczkę. – Poza tym przecież oboje zarabiamy, nie? Idę teraz do Klaudii. Ty już chyba powinienes iść do pracy? – Wsunęła stopy w tenisówki i zarzuciła torbę na ramię.

– Wyrobiłem już dwadzieścia osiem godzin, mam dziś wolne, mówiłem – Szczepan chwycił obie szklanki.

– OK. To pa! – posłała mu szybki pocałunek i zniknęła za drzwiami.

Wstawiając naczynia do zmywarki zastanawiał się, co powie Szwajcarom. Ostatnio przekonywał agentkę do przydzielenia im dodatkowego pakietu na obsługę administracyjną, obiecywała, że w zakresie urzędowego obiegu dokumentów przejdą do klasy Premium, a tymczasem będzie musiał wszystko odkręcać. No cóż. Nie trzeba było załatwiać tak ważnych spraw za plecami żony.

Wracając z pracy kupił pieczywo, sery i warzywa na surówkę. W lodówce powinny być jeszcze soki dla Marty i jego piwo. Kolacja może nie miała być romantyczna, ale smaczna na pewno.

Otworzył drzwi. Zapłonęły światła, w rogu pokoju rozbłysnął telewizor. Zaniósł zakupy do kuchni i przy dźwiękach serwisu informacyjnego zaczął przygotowywać kolację.

– Epidemia krabiej grypy przybiera zastraszające rozmiary. W Chinach liczba ofiar zabójczego wirusa sięga kilkudziesięciu tysięcy. Wirus zebrał też wielotysięczne żniwo w Tajlandii i Wietnamie, pojedyncze przypadki notuje się w Korei i na Filipinach. Światowa Organizacja Zdrowia...

– Niech no tylko ta grypa dojdzie do nas, ciekawe z czego zapłacimy za leczenie – mruknął i otworzył lodówkę. – Sok! – Wnętrze świeciło pustkami. Marta musiała wpaść do domu po południu i osuszyć ostatni karton. Szczepan porwał portfel i wybiegł z mieszkania na złamanie karku.

Kiedy zdyszany wrócił z supermarketu, Marta już siedziała w fotelu. Widząc jej minę zaczął gorączkowo szykować jakieś usprawiedliwienie, ale przerwała mu w pół słowa.

– Mam raka.

Szczepan chwilę stał bez ruchu. Wreszcie odłożył siatkę, podszedł i niezdarnie przytulił żonę.

– Będzie dobrze – powiedział cicho. – Weźmiemy kredyt, spłacimy leczenie...

– Mówiłam! – krzyknęła nagle. – Mówiłam że trzeba mieć ubezpieczenie zdrowotne! – urwała i ukryła twarz w dłoniach.

Szczepan był o krok od zniecierpliwionego westchnienia, ale pohamował się i powiedział spokojnie:

– Fundusz USA pokryje nam 45% kosztów. Ile może wynieść twoje leczenie, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy...

– Dwieście pięćdziesiąt – przerwała głuchym głosem.

Chwilę milczeli. Szczepan czuł, że musi coś powiedzieć, uświadomić jej, jaki błąd popełniła, godząc się na tak kiepskie warunki opieki medycznej, ale powstrzymał się.

– Możemy sprzedać mieszkanie, przecież i tak jest dla nas za du...

Nie dała mu dokończyć.

– Jeszcze dziś masz zadzwonić i wypisać się z tego abonamentu! Albo wynegocjować większy pakiet zdrowotny! Albo nie, ja zadzwonię – zerwała się i złapała za telefon, ale delikatnie odebrał jej słuchawkę.

– Tego nie możemy zrobić – tłumaczył cierpliwie. – Podpisaliśmy umowę na dwa lata. Chyba, że wytrzymasz jeszcze trochę, potem się przepiszemy do Germanii...

– Nie ma mowy! – krzyknęła znowu. – Muszę mieć zabieg jeszcze w tym miesiącu. Zarejestrowałam się już w klinice. Potem mamy kwartał na zebranie pieniędzy, USA dają długie terminy.

– A mogą rozłożyć na raty? – Szczepan poczuł ukłucie nadziei.

Marta zamilkła. Potem popatrzyła na męża zimnym wzrokiem.

– Doskonale wiesz, że nie. To ty negocjowałeś.

– Marta... – westchnął, ale nie zdążył dokończyć.

– Teraz Marta, teraz Marta, ale w końcu powiesz, że sama sobie jestem winna bo chciałam zaoszczędzić! – wybuchnęła płaczem i rzuciła się z powrotem na fotel, zwijając się w kłębek.

Uśmiechnął się smutno. Wyjęła mi to z ust, pomyślał; śmieszne tylko, że ja naprawdę czuję się winny.

– Marta – zaczął znowu – damy sobie radę. Jak nie tak, to inaczej. Spróbuję załatwić, żeby przenieśli część pakietu opieki sądowniczej na medyczny. Powinno się udać – dodał, chociaż

oboje doskonale wiedzieli, że nie było na to najmniejszych szans.

– Faktura przyszła.

Marta uniosła głowę z poduszki i spojrzała na siedzącego przed komputerem Szczepana.

– Od kogo? – wyszeptwała w desperackiej próbie zaklęcia rzeczywistości.

– Z kliniki.

Z powrotem zapadła cisza. Wysokość rachunku nigdy nie była tajemnicą, ale teraz, kiedy faktura została dostarczona, ciężar narosłych zobowiązań stał się niemal namacalny.

Szczepan wstał i podszedł do okna. Chwilę patrzył na wieczorną panoramę miasta. Wreszcie odezwał się półgłosem.

– Zadzwońię do Arabii.

– Ani mi się waź! – Marta chciała usiąść na łóżku, ale osłabłe ciało stawiało opór. – Nie mam zamiaru przechodzić na jakąś durną religię tylko po to, żeby dostać...

– Marta! – podniósł głos. Zamilkła. – Marta – powtórzył już spokojniej – nie mamy wyjścia. Tylko oni oferują przeniesienie kosztów. Nikt inny nie przyjmie nas teraz, kiedy mamy takie zobowiązania finansowe. Pięć lat jakoś wytrzymamy, i tak wyjdzie taniej niż brać kredyt. Damy sobie radę, zobaczysz. Ja pojadę na pielgrzymkę do Mekki, ty będziesz się uczyć Koranu...

– Ale ja nie jestem jakaś papuga! Nie będę klepać jakichś pieprzonych wersetów, których nawet nie rozumiem! – głos Marty drżał.

– Damy sobie radę – powtórzył mechanicznie, sam już nie wiedział, który raz. – Będzie dobrze. Chcesz coś do picia?

Pokręciła głową i wtuliła twarz w poduszkę. Powoli podszedł do łóżka. Zapadała w sen, jej wyniszczone terapią ciało bardzo tego potrzebowało. Ostrożnie poprawił kołdrę i cicho wyszedł z pokoju.

– Jak mogłeś tego nie zauważyć! Przecież po tych fanatykach można się było tego spodziewać! Jak ja się pokażę koleżankom w tej okropnej chuście, wyobrażasz to sobie w ogóle? A ty? Przecież cię w pracy obśmieją!

Szczepan w zakłopotaniu gładził podbródek. Po raz ostatni miał czuć pod palcami gładką skórę. Na myśl o zapuszczeniu brody do piersi chciało mu się kłąć i śmiać na przemian.

– A te sądy szariackie? Jak ty to sobie wyobrażasz? Nigdy w życiu nie myślałam, że przyjdzie mi żyć według jakichś średniowiecznych zasad!

– Nikt nie sprawdzi, czy praktykujemy... – nieśmiało zaprotestował.

– Tak? Myślisz, że te modły ileś razy dziennie, te pielgrzymki, sztywna kwota wizyt w meczecie, to wszystko ot, tak, dla picu? Myślisz, że jak oni wyłożyli taką kasę na nasze długi, to teraz nam odpuszczą naszą część umowy? Nigdy w życiu! Jesteśmy u-du-pie-ni! – wycodziła mu prosto w nos.

Aż przyjemnie było na nią popatrzeć. Po chorobie nie zostało ani śladu, w oczach pojawił się ten sam błysk, co dawniej. Gdyby jeszcze dało się normalnie porozmawiać.

– Idę do Klaudii – prychnęła i sięgnęła po torebkę. – Będę wieczorem. A Ty się w międzyczasie zastanów, jak zamierzasz nas z tego wydostać, bo to nie był mój pomysł i nie mam najmniejszego zamiaru wyciągać nas z tego.

Trzasnęły drzwi. Szczepan westchnął i sięgnął po blisko stustronicowy kontrakt. Przeczytał dopiero dwie trzecie, a rewelacji już odkrył co niemiara. Podpisywali umowę pod presją chwili, zawierzywszy agentowi, jakby nie wiedzieli, że dla niego liczy się tylko

pro wizja, a nie satysfakcja klientów. Wprawdzie warunki finansowe pokrycia zadłużenia na leczenie i kar za zerwanie umowy z ubezpieczycielem amerykańskim przedstawione zostały rzetelnie, ale warunki kulturowe i obyczajowe okazały się mieć nie tylko drugie, ale także trzecie i czwarte dno.

W sumie sytuacja bardziej śmieszyła go niż przerażała. Nigdy nie był religijny, więc kontraktowe przejście na islam, po pierwszym odruchu sprzeciwu, wydało mu się niczym więcej, niż przystosowaniem się do warunków. Przecież ilekroć zmieniał pracę, adaptował się do kodeksu postępowania nowej korporacji. Fakt, gęsta broda może być problemem, ale raczej w życiu osobistym niż zawodowym. Tu zawsze można powołać się na ustawę o niedyskryminacji. Ciężko było sobie wyobrazić spanie czy kąpiel z czymś takim na twarzy, ale przecież ludzie tak żyją, pocieszał się. Odłożył papiery i poszedł do kuchni po piwo.

Piwo?

Stanął jak wryty, a potem rąbnął dłonią w futrynę. Pięć lat bez alkoholu przeleciało mu przed oczyma. Gdyby tylko mógł liczyć, że równie szybko przeleci mu w rzeczywistości! Wyjął z lodówki butelkę. Dziwnie było pomyśleć, że od przyszłego tygodnia, kiedy minie miesiąc dostosowawczy, ta przyjemność zostanie mu wzbroniona. „Trzeba pić na zapas”, pomyślał i uśmiechnął się bez przekonania.

Im dłużej czytał, tym bardziej obca stawała się perspektywa najbliższej pięciolatki. To, co jeszcze niedawno skłonny był uznać za ciekawy eksperyment, przerwanie rutyny, może nawet okazję do nauczenia się czegoś, jawiło się teraz jako generalny remont sposobu życia, prowadzony wedle niezrozumiałych prawideł. Piwo było mdląco gorzkie, ale zmuszał się do przełykania. Przerzucając stronę po stronie widział oczyma wyobraźni, jak zmieniać się będzie jego i Marty codzienna egzystencja, i zaczynał żałować podjętej arbitralnie decyzji.

Właśnie. Marta miała rację. To on wpakował w to ich oboje. Arabski ubezpieczyciel był wyłącznie jego pomysłem, przepchniętym wbrew wyraźnym protestom żony. Pielgrzymka do Mekki, acz uciążliwa, wywarła na nim niezatarte pozytywne wrażenie zetknięcia się z czymś nowym, ale przecież nie wyłącznie takie przeżycia miały wypełniać ich pięcioletni abonament. Pięć lat. Marta tego nie wytrzyma. A on nie wytrzyma z Martą.

I dopiero teraz naprawdę zaczął się bać. Z oddaną żoną u boku czułby się na siłach stawić czoła temu, co ich czekało. Wspierając się nawzajem doczekaliby końca kontraktu i mogli zacząć życie od nowa, w jakimś europejskim programie podatkowym. Ale pięć lat suszenia głowy jak dziś? Trzaskania drzwiami? Wychodzenia do koleżanek i zostawiania wszystkiego na głowie męża? Obwiniania o wszelkie niepowodzenia? Wytykania wciąż tego samego błędu?

Wychylił piwo do dna i potruchtał do lodówki po następne. Gorączkowo wertował strony umowy i niemal na każdej znajdował nowy powód do pograżenia się głębiej w depresji. Niemal czuł już na barkach ciężar problemów, z którymi będzie się borykał – sam, bo Marta rozłoży ręce i powie „przecież to TY nas w to wpakowałeś”. Nie czuł się na siłach tego udźwignąć. Przed oczami migały mu przepisy, punkty i podpunkty, postanowienia i klauzule, zobowiązania i kryteria, wymogi i prawa, tych ostatnich zatrwającą mało.

Najgorsze, że Marta nie będzie się w stanie dostosować. Jeżeli wpadnie lotna kontrola szariacka i zostanie ją bez chusty, konsekwencje mogą być tragiczne. Czy zdoła się powstrzymać od zgryźliwych uwag pod adresem ich imama rodzinnego? Szczepan kiepsko to widział. Na domiar złego, stabilizacja finansowa zależała od tego, czy uda im się zapracować na ulgi w składkach. Do tego jednak trzeba było wzorowego prowadzenia się pod względem religijnym, czyli w realiach operatora arabskiego, pod prawie każdym. Jeżeli kontrola wykryje jakiegokolwiek uchybienia, pełna składka nawet bez karnych narzutów oznaczać będzie życie na krawędzi nędzy.

Szczepan z brzękiem odstawił próżną butelkę na stół. Nie było wyjścia. Zawsze miał się za człowieka bardziej odpowiedzialnego. Teraz to on powinien wziąć na siebie obowiązek przewodzenia temu związkowi. Mieli jeszcze trochę czasu, zanim zostaną zobligowani do

wypełniania wszystkich warunków. Ten czas trzeba było wykorzystać. Czy Marcie się to podoba, czy nie, Szczepan musiał przejąć stery. W końcu w tej religii to chyba mężczyzna był głową rodziny.

Zbolała głowa opadła na oparcie fotela. Muszę obmyśleć strategię, zanim wróci, przemknęło jeszcze Szczepanowi przez myśl, nim zmorzył go sen.

– No co to robisz! Popraw burnus! Imam zaraz tu będzie!

Marta kręciła się po mieszkaniu, doglądając, czy wszystko jest jak trzeba. Szczepan szarpnął raz i drugi, ale grzebień na dobre uwiązał w splotach zaniedbanej brody.

– Jak wyglądam? – zapytała nagle.

– Ślicznie... – rzucił, wyszarpując uparty grzebień.

– Pytam o chustę! Nie wystają mi włosy?

– Tu jakiś kosmyk... – Szczepan chciał wsunąć kilka niesfornych loków pod tkaninę, ale Marta cofnęła się z furją.

– Gdybym cię nie zapytała to sam byś nie zauważył! I jak byś się wytłumaczył imamowi, co?

Szczepan skrzywił się i wzruszył ramionami, ale tym tylko rozzłościł żonę jeszcze bardziej.

– Ani się waż tak zachowywać przy imamie! Co on sobie o nas pomyśli? Że znowu piłeś piwsko! Drugiego ostrzeżenia już nie będzie, pamiętaj!

Rozległ się stukot. Marta rzuciła spłoszone spojrzenie w stronę drzwi, a potem konspiracyjnym szeptem obwieściła:

– Od razu jak się przywitacie powiedz mu, że bierzesz drugą żonę. Klaudia już wie, zgodziła się. To go powinno udobruchać.

Szczepana wmurowało w ziemię. Klaudia? Ta stara panna jego żoną? Kiedy to ustaliły? Znowu za jego plecami?

– No co się tak guzdrzesz! – syknęła Marta i pchnęła męża w stronę drzwi. – Idź, ty tu jesteś głową rodziny!

Potulnie podreptał na przywitanie imama. Za nim ze wzrokiem kornie wbitym w ziemię podążyła żona. Gdyby tylko naiwny duchowny wiedział, co się dzieje między jego wizytami! Szczepanowi przez chwilę zaświtała szalona myśl: a gdyby tak się poskarżyć? Ale odrzucił pokusę jeszcze zanim otworzył drzwi. Przed gniewem Marty nie uchroniłyby go nawet święte mury meczetu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Szczepan momentalnie struchlał, do połowy opróżniona butelka wypadła mu z dłoni i gdyby nie refleks Marty, która dopiwszy już swój drink miała wolne ręce, alkohol wsiąkłby w perski dywan.

– Kto to może być! – piskliwie szepnął Szczepan i wpakował do ust garść rodzynek sułtańskich. – Przecież kontrola była wczoraj! – wybełkotał, osuszając rękawem brodę.

– Widocznie mają nas na oku! – Marta gorączkowo zaczęła wiązać na głowie chustę. – Musieli nas śledzić od meczetu, mówiłam, żebyś mnie nie ciągnął do monopolowego! Teraz idź otwórz!

– Ja? Przecież na kilometr czuć, że piłem! Lepiej udajmy, że nas nie ma.

– To za pięć minut będą tu bojówki, Jadzia mi opowiadała, Tomka ledwo odratowali!

– Co? Nic mi nie mówiłaś! – Szczepan zaczął cały się trząść, rodzynki wypadły mu z rozdziawionej gęby.

– Nie chciałam cię denerwować, tylko być więcej pił. Otwieraj, nie wygłupiaj się.
– Przecież ci mówię że ledwo mnie zobaczą spalą kontrakt i rzucają nam pod nogi a popioły podepczą!

– Dobra, niech ci będzie – machnęła ręką i zawołała. – Klaudia! Drzwi!

Okutana w czerń postać przemknęła cicho do przedpokoju. Szczęknęły zamki. Szczepan rzucał się szczupakiem do łazienki, kiedy w połowie susu od drzwi dobiegł ciepły głos:

– Dzień dobry. Jestem przedstawicielem „Wyspy Life International”. Chcemy zaoferować państwu nasze usługi.

Szczepan z trudem wyhamował i odwrócił się, patrząc znacząco na żonę.

– Klaudia, wpuść pana! – w oczach Marty zapaliły się ogniki nadziei.

Po chwili do pokoju wszedł wysoki, szczupły brunet w nieskazitelnym garniturze i o włosach pociągniętych żelazem. Wyglądał jak wyjęty z broszury reklamowej towarzystwa ubezpieczeniowego. Na widok Szczepana i Marty uśmiechnął się szeroko. Jego zęby nie potrzebowały komputerowego retuszu.

– Witam państwa serdecznie – z tymi słowami usiadł nieproszony na fotelu i zaczął rozkładać na stole papiery. Usiedli również, patrząc nieśmiało na pewnego siebie gościa.

– A więc są państwo abonentami Arabii, zgadza się? – błysnął zębami i ciągnął: – Nie uszło naszej uwadze, że wielu klientów programów takich jak arabski, gdzie na abonenta nałożone są uciążliwe rygory, nie znajduje w tym układzie radości życia. Dlatego stworzyliśmy dla państwa specjalny program – do rąk Marty i Szczepana powędrowały barwne prospekty. – Dzięki temu programowi nieusatisfakcjonowani lecz związani kontraktem abonenci mogą bezpiecznie i bez obaw zmienić obywatelstwo na wyspiarskie.

– Tak? – zagadnęła Marta. Zrobiła to tylko po to, by stworzyć pozory jakichkolwiek negocjacji. On wiedział i oni wiedzieli, że albo się zgodzą, albo nazajutrz, za tydzień albo za miesiąc nie dotrzymają warunków umowy z Arabią i skończą tragicznie.

– Oczywiście – brunet podał im gruby plik papierów. – Wystarczy tu podpisać i o północy przestaną obowiązywać jakiegokolwiek rygory, które tak cierpliwie znosili państwo przez ostatnie miesiące. To standardowy kontrakt, o jakim na pewno nie raz słyszeli państwo w mediach lub od przyjaciół.

– A ile nas to będzie kosztowało? – Szczepan z zainteresowaniem przeglądał broszury. Wyspiarski pejzaż okraszony ultranowoczesnymi wysokościami robił wrażenie.

– Stawki pozostaną na tym samym poziomie i przez taki okres, jaki ustaliliście państwo z operatorem arabskim. Wszelkie świadczenia i przywileje zostaną zachowane. Przestaną obowiązywać jedynie uciążliwe nakazy i zakazy – mówiąc to spojrzął na wystającą spod fotela butelkę wina i posłał Szczepanowi miły uśmiech. Ten byłby się wkurzył, ale przecież nie wypadło.

– Czy są jakiegokolwiek warunki? – zapytała Marta, choć wiedziała, co usłyszy w odpowiedzi.

– Po podpisaniu umowy mają państwo dwa dni na przygotowanie się do wyjazdu. Przeprowadzka to, jak państwo na pewno doskonale wiedzą, warunek objęcia naszym programem. Koszty transportu pokrywamy my.

– No to co, Szczepanku? – Marta sięgała po długopis, kiedy mężczyzna nieoczekiwanie położył dłoń na papierach.

– Jest jeden problem – ściszył głos i znacząco spojrzął na Klaudię, która siedziała bez słowa na krześle w kącie. – Wielość jest nakazem, który ulegnie anulacji dziś o północy. Musi pan wybrać – zwrócił się do Szczepana – która z żon pozostanie pańską jedyną.

Szczepan westchnął i skinął głową. Przed nim wylądowała kartka z krataczkami przy imionach Marty i Klaudii. Nie zastanawiając się postawił krzyżyk. Wybór był oczywisty, ale szybkość jego dokonania też miała znaczenie.

– A zatem – głos Marty ociekał miodem – czy możemy już podpisać, co trzeba, i zacząć się pakować?

– My to jednak mamy szczęście w życiu – Marta przytuliła policzek do gładkiej twarzy Szczepana. Luksusowy prom „Jantar” odbił już od brzegu i kierował się ku Wyspie.

Szczepan delikatnie odwzajemnił uścisk. Bał się przesadzić w którąkolwiek ze stron. Marta, choć ciężka próba ostatnich miesięcy odmieniła ją na korzyść, wciąż potrafiła przypomnieć sobie, że z oziębłością jej do twarzy.

Małżeństwo i wspólne życie z Klaudią w religijnych okowach szybko stało się dla dwojga udręką. To wtedy w Marcie coś pękło. Wspólne wieczory przy kieliszku zbliżyły ją i Szczepana do siebie. Ryzyko, jakim było tak otwarte łamanie reguł dostarczało im jakiejś chorej rozrywki w tym nowym, strasznym życiu. Kiedy wyszło na jaw, że plotkarskie znajomości Marty nie stanowią dobrych fundamentów pod codzienne życie, nawiązała się między nimi nowa więź. Klaudia okazała się jednak na swój sposób przydatna. Po krótkim okresie spięć i tarć stara panna nieoczekiwanie odnalazła się w roli „przykrywki”, a może to odpowiedzialność za życie przyjaciółki wzięła górę, dość, że Klaudia od pewnej chwili jęła skrupulatnie wypełniać większość religijnych nakazów. Zarazem nie zmuszała Marty i Szczepana do pójścia w jej ślady, co tworzyło całkiem dobry układ. Nie wiedzieli, co zrobiła po otrzymaniu stosownej odprawy i zdawkowym pożegnaniu na dworcu. Byli jednak o nią spokojni – a może raczej mieli ją gdzieś.

Na horyzoncie pojawił się zarys Wyspy i jej futurystycznej zabudowy. Uśmiechając się do siebie i świata, pełną piersią wdychali świeżą morską bryzę. Nagle Marta ścisnęła Szczepana za rękę.

– Zobacz, czy ten prom nie płynie trochę jakby krzywo?

– Neeee, pewnie są tu mielizny, musi płynąć wokoło – uspokoił ją Szczepan.

Tymczasem „Jantar” nie zamierzał zbliżyć się do Wyspy. Łuk jaki zataczał prowadził z powrotem na otwarte morze. Przez chwilę łudzili się, że może przystań jest po drugiej stronie, ale widok mijanego portu i promów przycumowanych pośród lśniących wieżowców rozwiął ich złudzenia. Szczepan milczał, Marta gryzła wargi. Wreszcie nie wytrzymała.

– Zapytam kogoś – syknęła i zostawiła Szczepana przy burcie.

Po kilku minutach wróciła z twarzą jak Meduzy głową.

– Nie płyniemy na Wyspę – wycodziła, wbijając w Szczepana sztylety spojrzeń. – Płyniemy na Wyspy.

– A to jakaś różnica? – zapytał słabym głosem.

– Jasne że różnica! – Marta eksplodowała gniewnym krzykiem. – Wyspę właśnie mijamy, a wraz z nią dobre mieszkanie i dobrą pracę. Na Wyspach dopiero trzeba wszystko zbudować! – kipiała ze złości.

– Ale przecież... Prospekty... – Szczepan usiłował bronić się przed straszną rzeczywistością.

– Prospekty, dobre mi sobie! – prychnęła i zaczęła wygrażać mężowi pogniecioną broszurą. – Patrz, co tu pisze, patrz! Małym drukiem pod zdjęciami: „Przewidywana panorama Wysp już za osiem lat”. I my to mamy wybudować!

– Ale akwizytor... – Szczepan czuł, że grunt kołysze mu się pod stopami. Tak też było, bowiem przed chwilą kurs „Jantara” przeciął potężny statek wycieczkowy zdążający ku Wyspie.

– Akwizytor powiedział „Jestem przedstawicielem ‘Wyspy Life International’”! Na dwoje gramatyka wróżyła! Usłyszeliśmy to, co chcieliśmy usłyszeć!

– A kontrakt... – Szczepan wbił wzrok w widnokrąg i wciągał w płuca zimne powietrze. Marta zmięła prospekt w kulkę i cisnęła za burtę.

– Podpisany. Nie ma ucieczki. Ile razy mówiłam...

– Patrz! – przerwał jej Szczepan. Podążyła za jego wzrokiem.

Na horyzoncie ciemniała przerywana linia. Wyspa, sztucznie skonstruowana na bałtyckich płycznach, była pierwszym takim projektem w tym rejonie Europy, i pewnie dlatego każdy o niej słyszał. Kolejne podobne przedsięwzięcia, w tym i ciemniejszy właśnie na horyzoncie archipelag, nie zdobyły już podobnej medialnej popularności.

W miarę, jak nadpływali, coraz jaśniej zdawali sobie sprawę z ponurej przyszłości, jaka na nich czekała. Gdzieś w kontrakcie na pewno był zapis obligujący ich do brania udziału w budowie wysokościowca, w którym mieli w perspektywie zamieszkać, i przydzielający im tymczasowe miejsce w hotelu robotniczym z innymi desperatami i pechowcami. Na wszelkie wygody, do których przywykli, będą musieli sobie na nowo zapracować.

– Przynajmniej z zasadami islamu koniec – uśmiechnął się błado. Spiorunowała go wzrokiem.

– Jak moglibyśmy pomyśleć, że mamy taki fart? Przecież ci z Wyspy nie zgłaszają się do byle kogo, trzeba być niemożliwie dzianym, żeby zwrócili na ciebie uwagę, a my... Pasożyty żerujące na naiwności ludzi! Daliśmy się nabić w butelkę!

Widzieli już wyraźnie brzeg najbliższej z kilkunastu Wysp. Szkielety wysokich budynków wyrastały z mieszaniny błota i gruzu, stanowiącej grunt. Dostrzegali drobne sylwetki ludzkie zwijające się na rusztowaniach, punktowe ogniki spawarek i pryzmy materiałów budowlanych. Dalej w głębi ścieliły się nisko blaszane baraki – ich nowy dom.

– Przedwczoraj byłeś zawiany, wczoraj wróciłeś pijany, dziś czuć od ciebie alkoholem. Kiedy zamierzasz z tym skończyć? – Marta wzięła się pod boki, nieprzydatną miotłę oparłszy o odrapaną ścianę kłitki.

Szczepan nawet nie raczył odburknąć, tylko sapnął i ciężko zwałił się na łóżko. Ubłocone buty rzucił na środek pokoju, czyli metr od ściany i pół metra od łóżka.

– I myślisz, że ja to po tobie posprzątam, tak? – natarczywy głos Marty przebił się wreszcie do otepiałej mózgowicy Szczepana.

– Przepraszam – wymamrotał, usiłując zdjąć przepoconą bluzę – ale na budowie inaczej się nie da.

– Jak to się nie da? – Marta mało nie wykpięła. – W mojej brygadzie nie pije nikt!

– Bo jak się u was pije, to się wylatuje. Na rozbity pysk! – zarechotał.

Marta ledwo poznawała męża. Odkąd przydzielili go do kopania fundamentów pod sąsiedni wieżowiec, zmienił się nie do poznania. Nie widywali się całymi dniami: ona wysoko na rusztowaniach ze zmywakiem do szyb w ręce, on daleko w dole, przy koparkach i z łopatą w garści. Od rana do wieczora myślała tylko o tym, jak to będzie wyprowadzić się z ciasnego pokoju w barakach do nowoczesnego wieżowca, który pomagała wykańczać, i wziąć się wreszcie za normalną pracę. Patrząc jednak na to, co ze Szczepanem robiła praca fizyczna obawiała się, że dla niego może nie być już powrotu. A zresztą życie z placem budowy pod oknem nie zapowiadało się różowo.

Szczepan obrócił się na drugi bok i zachrapał. Westchnęła i machnąwszy ręką na kąpiel w ciasnej łazience na drugim końcu korytarza położyła się obok męża. Nagle dotarło do niej, że po raz pierwszy w życiu pójdzie spać brudna. Zaszlochała cicho. To miejsce napawało ją obrzydzeniem, do wszystkiego wokół i do siebie samej. Byli tu zaledwie kilka tygodni, a już tak się stoczyli. Jeszcze nikomu się nie przyznała, że zamiast na Wyspę trafili na Wyspy, choć nie przypuszczała, by każdy znał różnicę. Obiecała koleżankom, że prześle im pocztówki, ale wstyd był zbyt palący.

„Wyjechać stąd, jak najprędzej!” pomyślała w rozpaczy. Wtem zaświtła jej w głowie pewna myśl. Chociaż na jeden dzień wyrwać się stąd, zakosztować innego życia! I pocztówki

mogłaby załatwić! Otarła łzy i zapadła w niespokojny sen.

Widok promu „Zefir” z Wyspy 09 na Wyspę-Przystań Główną, z jego błękitno-białymi flagami łopoczącymi u burt w świetle poranka, sprawił Martę w podniecenie. Niełatwo było wyprosić u brygadzistki jednodniowy urlop, ale łzy i załamywanie rąk przyniosły upragniony rezultat. Kiedy pokład „Zefira” zawibrował i zachybotał na pierwszej fali, Marta poczuła się jak mała dziewczynka po raz pierwszy siedząca na karuzeli. Teraz łapczywie chłonęła blask bijący od smukłych wieżowców Wyspy, w które celował tępy dziób promu.

Po minimalnych formalnościach stanęła na zaskakująco twardej i czystej ulicy. Dłuższa chwilę zajęło jej zorientowanie się, którędy do centrum. „Raj”, pomyślała, w zachwycie patrząc na witryny ekskluzywnych sklepów, wypielęgnowane skwery i błyszczące samochody. Nagle poczuła się nieswojo w zmechaconej bluzeczce i nieodprasowanych spodniach. Jeszcze boleśniej poczuła, jak niszczy ją każda chwila spędzona na Wyspie 09. Szczęśliwie jej uwagę odwrócił szyld zautomatyzowanego urzędu pocztowego. Wysławszy kilkanaście widokówek ruszyła na miasto.

Ściskając w jednej dłoni torbę z zakupami a drugą osłaniając dekolt od wieczornej bryzy wbiegła na prom. Usiadła twarzą do trapu i czujnie obserwowała nielicznych ludzi wchodzących na pokład. Już oddychała z ulgą, gdy równoległe z brzęczykiem po trapie wbiegł on. Zakłęła w duchu. A jednak ją śledził.

Ostatnie chwile wspaniałego dnia na Wyspie zepsuła jej świadomość, że ktoś ją obserwuje. Mężczyzna przypętał się nie wiadomo kiedy i cały czas trzymał się w pobliżu, nie na tyle jednak natrętnie, by dać jej całkowitą pewność. Dopiero teraz, gdy wszedł za nią na prom, poczuła strach.

Nieznajomy nawet na nią nie spojrział, kiedy siadał zaledwie kilka miejsc dalej. Zaczęła się zastanawiać, czy powinna już teraz dać znać obsłudze promu, czy poczekać aż przycumują. Tak czy siak, była wściekła. Za oknami promu jaśniała w całej okazałości wieczorna panorama miasta, ale nie mogła się nią rozkoszować. Na domiar złego mężczyzna przysunął się bliżej. Dzielił ich już tylko jeden fotel! Nabierała powietrza, by zawołać obsługę, gdy nieznajomy mruknął:

– Kup pani cegłę.

Zamarła, a potem powoli wypuściła powietrze z płuc. „Boże, tak szybko?” Patrycja z chłopakiem, pamiętała dobrze słowa Andżeliki, czekali na to hasło całe pół roku.

– Cegieł mi nie trzeba – wyszeptła. – Szukam gotowego domu...

Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął dłoń. Podała mu swoją.

– Do widzenia! Miłego wieczoru życzę!

Za ostatnim klientem trzasnęły drzwi. Szczepan zamknął sklep i wyszedł na rozświetloną niezliczonymi szyldami ulicę. Wyspa zdawała się nigdy nie zasypiać. Do mieszkania miał dobre pół godziny, ale minął wejście do metra i ruszył spacerkiem przed siebie, chłonąc ekscytującą atmosferę miasta.

Byli tu zaledwie kilka miesięcy, a już wszystko układało im się jak w bajce. Małe, ale ładne mieszkanie z widokiem na morze, niezłe prosperujący sklep, żadnych problemów z urzędami, wszystko tak, jak gdyby byli prawowitymi obywatelami Wyspy. Tylko po nocach

trapiła Szczepana świadomość, że żyją na łasce i niełasce ludzi, którzy mając dostęp do centralnego rejestru Wyspy, robią na tym świetny interes. Takich ja oni pirackich obywateli mogły być setki, tysiące, może więcej, a każdy co miesiąc płacił haracz. Co jakiś czas nawiedzało Szczepana wspomnienie tego, co stało się z Leonem i Emilią, kiedy zastraszeni chcieli zgłosić się do władz. Ich ciała, wyłowione z zatoki, najlepiej zachęcały do regularnego płacenia za „ochronę”.

Szczepan potrząsnął głową, odpędzając złe myśli. Stał na rogu, patrząc na światła przybrzeżnej promenady w wąskim prześwicie między wieżowcami. Uśmiechnął się do siebie i skręcił w wąską uliczkę, prowadzącą do ich wieżowca.

Nieznajomy mężczyzna w granatowym garniturze, którego minął w holu, nawet nań nie spojrzał, zajęty wklepywaniem danych do palmtopa. Zwykle o tej porze hol był pusty, Szczepan zdziwił się więc jeszcze bardziej, widząc kolejnego eleganta z palmtopem wysiadającego z windy. Na widok Szczepana mężczyzna odwrócił się i chciał chyba coś powiedzieć, ale drzwi windy zamknęły się w porę. Jakiś dziwny skurcz złapał Szczepana za serce. Chwilę patrzył na podświetlony klawisz z dwunastką. Potem zmienił zdanie i wcisnął jedenastkę.

Winda zaćwierkała. Rozglądając się badawczo wyszedł na rzęsiście oświetlony korytarz. Pusto, cicho. Ostrożnie stawiając stopy jął wspinać się po schodach.

Dobiegające z korytarza głosy brzmiały spokojnie, ale stanowczo. Zimny dreszcz przebiegł Szczepanowi po plecach. Powoli wysunął głowę zza załomu.

Drzwi do jego mieszkania były otwarte.

Cofnął się gwałtownie i przycisnął pulsującą głowę do ściany. Tysiące myśli kłębiły mu się pod czaszką. Nie wiedział, czym zawinili i komu. Haracz płacili regularnie, nikomu się nie narazali! Nie wiedział co robić, gdzie iść, kogo wołać. W tej chwili strasznego rozdarcia obok ćwierknęła winda i dwaj mężczyźni których widział na dole ucapili go za klapy.

– Proszę z nami – grzecznie powiedział jeden z nich i powlekli Szczepana do mieszkania.

Marta z kamienną twarzą siedziała na kanapie i skupionym wzrokiem patrzyła na wprowadzanego Szczepana. Kiedy ten zobaczył, że w pokoju oprócz garniturowców z palmtopami roi się od policji, zrozumiał.

Marcie wystarczył jeden rzut oka na minę męża, by wiedzieć wszystko.

– U mnie też nic – mruknęła i rzuciła torbę na stół, padając ciężko na krzesło.

Szczepan pokiwał w zrozumieniu głową i zdjął czajnik z pieca. Po chwili na stole wylądowały dwie szklanki lurowatej herbaty.

Pili w milczeniu. Sala noclegowni świeciła jeszcze pustkami, ale za kilka godzin zwali się tu tłum takich samych jak oni nieudaczników. Bycie bezpieczeństwa skazywało człowieka na wegetację na samym dole drabiny społecznej, bez szans na pomoc nawet od znajomych.

– Uczciwi, co? – zachrypiało nagle gdzieś z góry. Oboje podnieśli głowy. Z pryczy patrzyła na nich zmiętoszona twarz.

Szczepan nie zareagował na zaczepkę, ale Marta buńczucznie wydeła wargi.

– A co to pana obchodzi?

Stary zaśmiał się szyderczo.

– Młodzi ludzie, zdrowi, a tacy głupi!

– Uważaj pan – wycedził nieoczekiwanie Szczepan. Facet ciągnął niezrażony:

– Moglibyście se znaleźć taką robotę że hej! Ale wy wolicie uczciwie zdechnąć – zarechotał i zaniósł się ciężkim kaszlem.

Nie zwracając już uwagi na wypluwającego sobie płuca natręta zanurzyli wargi w herbacie. Nie było o czym rozmawiać. Temat był jeden, odkąd wysadzono ich znowu po tej

stronie Bałtyku, obgadany do bólu.

– Gdzie jeszcze nie byliśmy? – burknął do Marty Szczepan, kiedy po krótkiej ciszy facet znowu zaczął charczeć.

– Byliśmy w każdej agencji w tej zaszranej dziurze – odpowiedziała beznamiętnie. – Zostało parę biur, ale trzeba by jechać do większego miasta.

– A za co? – głosem równie wyzutym z emocji zapytał Szczepan.

Wzruszyła ramionami i poszła do toalety.

Za chwilę była z powrotem, wymachując podartą gazetą.

– Patrz! – podsunęła mu strzępy pod nos. Spojrzał niechętnie.

„Długi? Zła opinia? Deportacja? Nie masz dokąd pójść? Nowe na europejskim rynku ubezpieczenia w systemie azjatyckim oferują wielu wiele za niewiele!”

Spojrzelili po sobie.

– Myślisz, że dobrze robimy?

Szczepan wzruszył ramionami. Autobus trzął się, nie pozwalając skupić wzroku na drobno zadrukowanych stronach.

– Chyba wszystko dobrze zrozumieliśmy? – w głosie Marty pobrzmiwał niepokój.

– No chyba tak – westchnął Szczepan. – Podpiszemy i po krzyku.

Marta pokiwała głową, ale zagryzała nerwowo wargi.

Biuro Cathay Insurances Ltd. mieściło się w starym kompleksie sklepowym, obecnie przekształconym w biurowiec. Na ich widok agent uśmiechnął się najszerzej jak potrafił.

– Jakże ja się cieszę, że znów państwa widzę! – gestem zaprosił ich do środka. Usiedli, Marta położyła papiery na stole.

– Przeczytali państwo demo kontraktu? Wszystko w porządku? Świetnie. A więc rozumiem, że dziś finalizujemy umowę? – Szczepan skinął głową, agent zatarł ręce. – Doskonale. Warunki są zrozumiałe? Dobrze. Ja rozumiem oczywiście, że pewne obciążenia finansowe mogą wydawać się państwu nieco uciążliwe, ale doskonale państwo rozumieją, że w państwa sytuacji jest to i tak sprawiedliwy układ. – Marta zacisnęła wargi. – Jeśli chodzi o pracę, to w przeciągu kilku dni stanowiska będą dla państwa utworzone. Mieszkanie z kolei gotowe będzie za tydzień. Proszę się nie niepokoić, jeżeli wypłaty nie pojawią się na państwa kontach przez najbliższe dwa-trzy miesiące. Pewne opłaty manipulacyjne i inne ponoszone przez nas dodatkowe koszty mogą przekraczać uzgodnione kwoty, ale to tylko efekt przejściowy – trajkotał, drukując kontrakty. – Bony na żywność wydawane będą pod koniec miesiąca, mam więc nadzieję, że dysponują państwo jeszcze jakimiś oszczędnościami. Czy wszystko jasne? – przybił kilkanaście czerwonych pieczęci i położył kontrakty na stole. – Proszę podpisać każda stronę.

– Gratuluję! – zawołał, kiedy odłożyli pióra. – Zostali państwo szczęśliwymi obywatelami Chińskiej Republiki Ludowej!

Najczarniejsze myśli dopadały Szczepana na nocnej zmianie. Ciągnąc miarowymi ruchami dźwignię sztancy rozmyślał o przypadku, który zaprowadził ich na ruchome schody w dół, z których nie było powrotu. W jakim momencie to się stało? Gdzie popełnili błąd? Kiedy ich uporządkowane, rutynowe życie zaczęło ulegać procesowi erozji, którego nie dało się już odwrócić? Czy była to choroba Marty, a może jego decyzja o wyborze arabskiego operatora? Co by się zmieniło, gdyby akwizytor Wysp zastukał wtedy do drzwi sąsiadów? Pytaniom nie było końca, sztanca stuknęła miarowo.

Nastał świt. Sznur odzianych w niebieskie mundury robotników jął ciągnąć z kompleksu fabrycznego na zasypaną śniegiem ulicę. Szczepan miał przed sobą dwugodzinny marsz do domu; na autobus nie było go stać. Kiedy dojdzie, Marty nie będzie już w domu. Jedynym plusem jej pracy w fabryce zupek błyskawicznych było to, że nigdy nie brakowało im makaronu ni glutaminianu sodu.

Trzęsąc się z zimna wyszedł na siódme piętro i zgrabiętymi rękami przekręcił klucz w zamku. Ledwo zdjął kurtkę, kiedy Marta z krzykiem przywarł do jego piersi.

– Co się stało? Co ci? – pytał gorączkowo, patrząc w załzawione oko. Pół twarzy żony zakrywał bandaż. – Co jest? Marta!

Kobieta wreszcie odzyskała głos.

– Przyszli tu wczoraj – wydusiła, szlochając, – zaraz po twoim wyjściu. Pokazali kontrakt, powiedzieli, że mam iść z nimi. Nie mogłam nic zrobić!

– Co oni... – Szczepan nadal cały się trząsł, lecz już nie z zimna.

– Pojechaliśmy do ich kliniki – ciągnęła Marta, trzymając go kurczowo za rękę. – Zrobili mi badania wzroku i zabrali na salę. Nie chciałam iść, ale pokazali mi kontrakt, powiedzieli, że oddawanie organów jest warunkiem...

– Ale przecież dopiero po naszej śmierci! – ryknął Szczepan. Czuł, że zaraz go rozniesie. Pokręciła drżącą głową.

– Powiedzieli, że oni to interpretują inaczej, i że jeżeli nam się nie podoba, możemy iść do sądu, ale zgodnie z ich prawem nie przysługuje nam obrońca, bo mamy za małe dochody. To trwało może pół godziny... – głos jej się załamał. – Potem kazali mi iść do domu... A ja już nie miałam siatkówki! I dziś znowu mają przyjść do nas po twoją nerkę! – wybuchnęła płaczem i wtuliła twarz w fałdy jego koszuli.

Szczepan objął ją i tulił, dopóki nie przestała płakać. Wtedy ogłosił sucho.

– Idę.

– Gdzie? Co chcesz zrobić? – próbowała go zatrzymać, ale pocałował ją tylko i powtórzył:

– Idę. Wrócę niedługo.

Coś kazało jej pozwolić mu wyjść. Odrapane drzwi trzasnęły głucho.

– Pa, kochanie!

Jeszcze tylko cmoknięcie w policzek i obite skórą drzwi zamknęły się za Szczepanem. Marta chwilę stała w przedpokoju, upajając się zapachem wody kolońskiej męża. Nie powiedział, kiedy wróci; sam tego nie wiedział. Poczowała chłód na myśl, że tym razem mógłby nie wrócić. Odpędziła mroczne myśli i potruchtała na taras.

Czekali na niego. Wszyscy w czarnych płaszczach i ciemnych okularach, wysocy, silni, twardzi, groźni, tak jak on. Przez tamte lata nie widziała, kto krył się w jej mężu. Teraz, kiedy wsiadał do czarnej limuzyny, poczuła dumę i podniecenie. Był jednym z nich.

Kawalkada ruszyła z piskiem opon. Mogło nie być ich godzinę, dwa dni, albo tydzień. Nigdy jej nie opowiadał, co przez ten czas robił. Grunt, że wracał cały. I bogaty.

Limuzyny zniknęły za zakrętem. Jeszcze kilka minut rozkoszowała się świeżością poranka. Słońce złociło dachy okolicznych rezydencji, w koronach drzew świergotały ptaki. Wykonała kilka figur tai-chi i uśmiechnęła się do świata.

Rozległ się gong. Marta z doskonałą nonszalancją otworzyła drzwi terapeutce. Leżąc na kanapie oddała się w ręce profesjonalistki i wsłuchiwała w szemranie ściennego telewizora.

„Wyspa Life International oferuje teraz niezrównany komfort życia, jednocześnie nie obciążając nadmiernie twojego konta” ciepłym głosem kusiała reklama. Marta uśmiechnęła się na wspomnienie swojej jednodniowej eskapady na Wyspę. Wiedziała już, że komfort życia

można osiągnąć bez kontraktów i dokumentów, prowizji i rewizji, negocjacji i reklamacji.
A przede wszystkim bez obciążania konta.
Przynajmniej własnego.

Tekst udostępniony na licencji Creative Commons. Uznanie autorstwa – użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych. 3.0 Polska

[Strona autorska](#)